

# Wesele bez ślubu...

MAREK GAJDA

*W numerze kwietniowym opublikowaliśmy artykuł o 40-leciu Bogusławickiego Klubu Jeździeckiego. Poniższy tekst nawiązuje częściowo do tego jubileuszu, a dokładniej rzecz biorąc – do historii Stada Ogierów w Bogusławicach, z którą to jednostką „Krakowskie Wesele” było nierozzerwalnie związane. Redakcja.*

– Pomysł na zorganizowanie „Krakowskiego Weseła” podsunął **Andrzejowi Osadzińskiemu**, wieloletniemu dyrektorowi Państwowego Stada Ogierów w Bogusławicach, **Karol Rómmel** najlepszy i najwszechstronniejszy jeździec okresu międzywojennego, olimpijczyk – mówi **Ryszard Bartmański**, który był w tym czasie zastępcą dyrektora Stada.

Nie wiadomo, kiedy ta rozmowa miała miejsce, wiadomo natomiast, że Rómmel nawiązał wtedy do tradycji niemieckiej, chociaż istniały rodzime wzorce uwiecznione w nieśmiertelnych dziełach Wyspiańskiego i Kossaka. Poza tym, niemal każde stado w powojennej Polsce miało swojego kadryla, a najlepszego – wg pana Ryszarda – Starogard Gdański.

Nazwa „kadryl” wywodzi się z języka francuskiego, gdzie słowo *quadrille* pierwotnie oznaczało salonowy taniec figurowy, powstały z kontredansa, tańczony w grupach złożonych z dwóch lub czterech par tworzących kwadrat. Taniec ten był szczególnie popularny w XIX w. Nazwę następnie przejął układ jeździecki, którego konfiguracja zależy wyłącznie od wyobraźni autora – „końskiego” choreografa.

W latach 60. Stado w Bogusławicach należało już do najprężniejszych ośrodków hodowlanych w Polsce, a zawodnicy BKJ (od 1969 r.) zaczęli odnosić coraz większe sukcesy na krajowych i międzynarodowych arenach. Brakowało jedynie estetycznego wyróżnika, swoistej artystycznej wizytówki, z którą kojarzono by tylko Bogusławice.

– Pamiętam, że Andrzejowi zależało bardzo na czymś nietuzinkowym – wspomina Bartmański. Powstała więc idea po-



fot. z archiwum KP – Małgorzata Kiernicka

**Na środku występował zespół, a jeźdźcy z banderii skakali w tym czasie przez hyrdy ustawione prostopadłe do podestu**

łączenia dynamicznej jazdy ze śpiewem i muzyką, a wszystko w tradycyjnej, ludowej konwencji. Były konie, jeźdźcy, sprzęt i obiekty, brakowało tylko muzyki „od ucha” w profesjonalnym wykonaniu. Jak pamięta **Zbigniew Madejczyk**, jeden z pierwszych organizatorów inscenizacji, dyrektor Osadziński zadzwonił więc do prof. **Zbigniewa Pieńkowskiego**, kierownika (w latach 1961-1976, przyp. M. G.) krakowskiego zespołu pieśni i tańca „Krakowiacy”, by umówić się na spotkanie. Jak się miało okazać – owocne.

W 1974 r. powstał pierwszy program „Krakowskiego Weseła” z udziałem 32 koni z Bogusławic, a 10 lat później jego pełna wersja etnograficzna. Zaczynało się hejnałem „z Wieży Mariackiej” granym

przez trębacza, następnie konie z jeźdźcami (tzw. banderia) były wprowadzane za uzdy przez krakowianki, za którymi postępowały cztery tradycyjne, oryginalne wozy krakowskie z zasiadającym w nich zespołem i poczta węgierska (cztery pary koni, na grzbietach każdej pary stał jeździec). Wozy i banderia zmierzały w kierunku kwadratowego podestu, stanowiącego scenę dla zespołu. Od boków sceny prostopadłe odchodziły niskie faszyzny, zwane hyrdami. To przez nie w trakcie występu, w różnym układzie, skakali jeźdźcy z banderii, wykonując także inne ewolucje. Niewątpliwą atrakcją były popisy poczty węgierskiej, której jeźdźcy nie tylko potrafili w pełnym galopie ustać na końskich grzbietach, ale jeszcze skakać w ten sposób przez osobno ustawione niskie przeszkody. Konie poczty węgierskiej dobierane były czterema maściami: siwe, gniade, kare i kasztany, podobnie jak w banderii, gdzie każda „czwórka” była innego umaszczenia. Ryszard Bartmański przyznaje, że co prawda nie zawsze udawało się idealnie dobrać konie, ale bandaże obowiązkowo musiały być pod kolor zwierzęcia.

– Kiedy powstawało „Krakowskie Wesele”, przygotowania do występów zabierały zazwyczaj dwa miesiące ciężkiej pracy – przypomina sobie Zbigniew Madejczyk. Początki były bardzo trudne. Pan Ryszard uzupełnia, że najwięcej prób wymagało przygotowanie jazdy wierzchem. – Z uwagi na dużą szybkość i dynamikę przedstawienia, nie było miejsca na błędy, które mogłyby przecież skończyć się tragicznie. Dlatego próby rozpoczynały się już w czerwcu, po powrocie koni i masztalerzy



z punktów kopulacyjnych – mówi były dyrektor PSO.

W późniejszym czasie, kiedy zespół był już zgrany, na przygotowania wystarczył miesiąc, skrócony później do tygodnia, co zawdzięczano nie tylko świetnie ułożonym koniom, ale zgranemu zespołowi organizatorów, powożących i jeźdźców. Oczywiście nad wszystkim czuwał dyrektor Osadziński, którego dyspozycje przekazywał dalej i realizował **Wacław Gajda**, następnie **Józef Janiczek**. Zbigniew Madejczyk z kolei był prowadzącym banderę. Zawsze jechał na czele grupy, której skład nie był stały i zmieniał się na przestrzeni lat. Pierwszymi jeźdźcami w tym zespole byli: **Wiesław Wrona, Alojzy Szwarbuła, Julian Kubiak, Grzegorz Kubiak, Krzysztof Gliński, Zbigniew Dziadczyk, Marek i Paweł Skrzypczykowie, Kazimierz Andrzejewski, Władysław Badek, Tadeusz Gurdzialek, Jan Jaros, Konstanty Rybak, Seweryn Maliński, Wacław Mazurkiewicz** i wspomniany już wcześniej Józef Janiczek. Zaprzęgami ciągnącymi wozy z „Krakowiakami” powozili: **Mieczysław Gardziński i Wacław Marczyk** (obydwaj od początku do końca funkcjonowania „Krakowskiego Wesela”), Józef Janiczek, **Stanisław Kubiak** i Seweryn Maliński, zaś pocztą węgierską na początku jeździli: **Zygmunt Węgielski, Stanisław Jareńczyk, Kazimierz Sławiński i Józef Gliński**, później doszedł **Sylwester Lenarcik**.

Występy „Krakowskiego Wesela”, cieszącego się rosnącym zainteresowaniem

i coraz większą popularnością, organizowane przynajmniej raz w roku w Bogusławicach, zyskały uznanie nie tylko w najbliższym regionie. Zaczęły pojawiać się zaproszenia z całego kraju. Artyści i jeźdźcy występowali zazwyczaj przy okazji świąt ludowych, targów rolniczych itp. imprez agrarnych. Bywało niebezpiecznie.

– To było w Janowie Podlaskim – opowiada pan Zbigniew. Skakaliśmy przez hyrdy dwójkami, gdy koń mi się wyrócił i okulał. Na szczęście uszedłem cało, ale było groźnie – dopowiada.

Osobny rozdział historii „Krakowskiego Wesela” stanowią wyjazdy zagraniczne. Tym ciekawsze, że wszystkie miały miejsce przed 1989 r., kiedy istniał jeszcze dwubiegunowy świat, przedzielony „żelazną kurtyną”.

Jak zgodnie przyznają nasi rozmówcy, za każdym razem było to nie tylko ogromne przedsięwzięcie logistyczne, ale również, a może przede wszystkim, finansowe. Oczywiście na wyjazdach Stado zarabiało. Żeby jednak wyjechać, należało wcześniej zdobyć pieniądze. I pieniądze były, dzięki głównemu sponsorowi – Centrali Handlu Zagranicznego „Animex”, posiadającej w PRL-u rzadki przywilej prowadzenia obrotu gospodarczego w handlu z podmiotami zagranicznymi w walutach wymienialnych.

– Przeprowa przez granice – to była prawdziwa przygoda. Nie to co teraz, kiedy bez problemu, posługując się tylko



Jeźdźcami banderii na tym zdjęciu są (od lewej): Wacław Gajda, Bronisław Cywiński, Andrzej Cichosz i Józef Gliński, a ich występy obserwuje licznie zgromadzona publiczność

**J. Szydłowski®**  
*Riding boots*



Nawiążemy współpracę z dobrymi sklepami jeździeckimi na terenie całego kraju



Producent wysokiej klasy obuwia jeździeckiego



Firma J. SZYDŁOWSKI Sp. Jawna  
Janusz Szydłowski, Artur Galos

Wysoka 9 k/Wadowic, 34-105 Wysoka  
tel.: 033 873-75-29, fax.: 033 872-68-60

[www.butyjezdeckie.jszyslowski.com.pl](http://www.butyjezdeckie.jszyslowski.com.pl)

[www.jszyslowski.com.pl](http://www.jszyslowski.com.pl), [buty@jszyslowski.com.pl](mailto:buty@jszyslowski.com.pl)



dowodem osobistym, można wjechać do każdego kraju europejskiego na zachód od nas. A wtedy... Proszę sobie wyobrazić, 32 konie na samochodach, osobny samochód ze sprzętem, autobus z zespołem, zaplecze medyczne dla zwierząt..., stos dokumentów i procedury, które trwały godzinami – mówi Ryszard Bartmański, podkreślając, że

– kontynuuje pan Zbigniew – jeden z wyjazdów do Skandynawii. Z Gdańska do Helsinek płynęliśmy promem 36 godzin. Konie stały na pootwieranych samochodach, przy których pełniliśmy na zmianę dyżury. Mimo wszystko, tyle wolnego czasu... Co było robić... Byli z nami „Krakowiacy”, więc muzykę mieliśmy zapewnioną. Do tego wystarczyło

scach, niewidoczni jeszcze dla publiczności. Gdy nagle... zapaliły się wszystkie światła, ukazując publiczności barwną kawkadę, orkiestra przyrznęła „od ucha”, a banderia wjechała w pełnym galopie, ludzie podnieśli się z miejsc! Zaskoczenie było zupełne, a wrażenie piorunujące. Podobne spektakle „Krakowskie Wesele” odgrywało również w Szwecji, co totalnie szokowało z natury powściągliwych i stonowanych Skandynawów.

Niestety, jeden z podobnych występów dla niemieckiej publiczności o mało nie zakończył się tragedią. Pan Zbigniew pędził po obwodzie hali na czele banderii, za którą galopowała poczta węgierska. Planowo, w omówionym momencie, wozy z zespołem miały wyjechać z korytarza łączącego halę ćwiczebną z halą – areną. Konie w pierwszym zaprzęgu odmówiły jednak posłuszeństwa i stanęły jak wryte szamocząc się w uprzężach, a następnie wyskoczyły... tyle, że później, wprost pod nadjeżdżającą, rozpędzoną banderię. W dramatycznym zwrocie, dosłownie w ostatnim momencie udało się prowadzącemu odbić w lewo na środek hali, za nim zaś poszła reszta koni ratując sytuację, a może i czyjeś życie...

Innym, chociaż może nie tak spektakularnym epizodem, był występ dla włoskiej telewizji w Veronie. – Problem polegał na tym, że Włosi, którzy po raz pierwszy widzieli „Krakowskie Wesele” podczas któregoś występu w Sopocie, chcieli, byśmy maksymalnie skrócili czas inscenizacji – mówi pan Ryszard. I tak, 45 minut stopniało do 25, a następnie do 10. Musieliśmy zrezygnować z wielu elementów, ćwicząc w ciasnej hali nagrań, z czym wiązało się mnóstwo problemów. Sam program był zaś skondensowaną reklamówką naszej kultury we Włoszech. Najważniejsze jednak, że podobano się nawet papieżowi – podkreśla Bartmański.

Pod koniec 1989 r. „Krakowskie Wesele” ponownie występowało w Berlinie, pochłoniętym już, jak cały ówczesny świat, upadkiem „muru” – symbolu podzielonej Europy. Kończyła się zimnowojenna epoka, a w krajach bloku – socjalistyczna rzeczywistość. Realia gospodarki rynkowej uderzyły w Stada, ucięto dotacje. Odtąd w Bogusławicach odbywały się tylko próby „Krakowskiego Wesela”, a w 1991 r. podczas obchodów 70-lecia Stada, jeźdźcy i „Krakowiacy” wystąpili po raz ostatni. ▣



Zbigniew Madejczyk jechał zawsze na czele grupy konnych...

za każdym razem niezastąpionym okazywał się **Jan Okulicz**, były wiceprezes BKJ-u, redaktor sportowy, poliglota, niezmordowany organizator, który dzięki znajomości języków przeprowadzał prawdziwy rekonesans, dzięki czemu „Wesele Krakowskie” nigdy nie jechało „w ciemno”, nie mówiąc już o wszystkich sprawach papierkowych, które przed wyjazdem trzeba było załatwić w Warszawie.

„Krakowskie Wesele” wiele razy odwiedzało Berlin Zachodni, RFN, Finlandię, Szwecję, Włochy i właściwie każdy z tych wyjazdów zasługuje na osobną opowieść...

– Przygotowania do wyjazdu odbywały się oczywiście znacznie wcześniej. Musieliśmy zabrać swój prowiant. Rzecz jasna, później otrzymywaliśmy diety, ale kupowało się za to towary w Polsce deficytowe, które u nas można było dostać tylko w peweksach. Przypominam sobie

wyjąć nasze płynne zapasy i już czas biegł inaczej... Któryś razem na Bałtyku dopadł nas sztorm. Niestety, mimo usilnych starań weterynarza **Zbigniewa Perskiego**, padł nam wtedy jeden koń – wspomina Zbigniew Madejczyk.

Z kolei pan Ryszard pamięta, że pierwszy występ na wyjeździe przeważnie był kiepski. Ludzie byli stremowani, konie niespokojne, bo wietrzyły nowe miejsce i inne konie. Później było już coraz lepiej. Prawdziwym show okazał się jeden z występów w berlińskiej Deutsche Halle. Zaczynał, jak zwykle, hejnalista, na którego padał silny snop światła, zakreślając tylko wąski okrąg wokół niego. Reszta hali pogrążona była w ciemności. Widownia oczekiwała w napięciu niewiadomego i fakt ten podsycił atmosferę, nadając jej posmaku sensacji wieczoru. W międzyczasie, kapela, jeźdźcy, wozy z zespołem zdążyli ustawić się już na swoich miej-